№ 5. Warszawa, dnia 23 Stycznia (4 Luty) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

MIŁOŚĆ WŚRÓD GWIAZD.

POGADANKA PSYCHOLOGICZNA

Kamila Flammariona.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Amor.

Słodkiemu życiu sam na sam brak było jednak czegoś. Rozmowy dotyczące zagadnień bytu i nicości, wymiana myśli i poglądów, poszukiwania ostatecznego celu wszechrzeczy zadawalniały niekiedy ich dusze, ale nie serca. Zagawędziwszy się długo już to w ogrodzie, czy w bibliotece cichej jak grób, student-badacz nie mógł się rozstać z towarzyszką, więc siedzieli oboje, ręka w rękę, milczący, powstrzymywani a złączeni nieprzepartą jakąś siłą. Zdala od siebie uczuwali w piersiach bolesną próżnię, jak gdyby zerwany został węzeł łączący ich życie, jedno i drugie czekało z utęsknieniem chwili, w której zejdą się znowu.

On ją kochał nie dla siebie lecz dla niej, uczuciem prawie nieosobistem, pełnem szacunku i miłości, panował nad zmysłami i milczał. Ale pewnego dnia, gdy siedząc w bibliotece na wielkiej sofie, wśród stosu książek i papierów, umilkli oboje, zdarzyło się, iż znużona wysiłkiem w walce przeciągającej się zbyt długo, głowa młodego autora skłoniła się nieznacznie na ramię towarzyszki i prawie w tejże samej chwili... spotkały się ich usta...

. . . .

O rozkosze niewysłowione zobopólnej miłości! Szale istot spragnionych szczęścia, upojenie wyobraźni, słodka harmonio serc, w jakieżto nadziemskie wyżyny unosicie swoich wybrańców! Zapomniawszy o całym świecie, mknąc na skrzydłach ku niebu, krążą tam wysoko szczęśliwości bez granic. Świat nędzy i komedyi nie istnieje dla nich zupełnie, żyją w blasku i ogniu: salamandry, feniksy, wolne od ziemskiej powłoki, lekkie jak płomień, pochłaniające się wzajem i znowu odradzające się z popiołów, zawsze jasne, płomienne, nieujęte i niezwyciężone.

Szał pierwszych uniesień utrzymywał młodą parę pod wpływem zachwytu, iż zapomnieli na chwilę o metafizyce i jej problematach.

Tak było przez pół roku. Ze wszystkich uczuć ludzkich najsłodsze i najpotężniejsze uzupełniło i zasyciło pragnienia ich dusz, lecz zagarnęło je na czas pewien wyłącznie dla siebie. Od chwili pocałunku, Jerzy Spero nietylko zniknął ze sceny świata, ale zupełnie przestał pisać, straciłem go z oczu mimo szczerej przyjaźni jaką mi okazywał. Logicy wyprowadziliby ztąd wniosek, że po raz pierwszy był zadowolony, gdyż znalazł rozwiązanie wielkiego problematu, najwyższy cel stworzenia.

Żyli we dwoje w tym „egoizmie", który oddala cały świat od naszego centrum optycznego, zmniejszając tym sposobem jego wady, czyni milszym i przyjemniejszym. Jerzy nieznacznie powrócił do studyów, z głębokiem uczuciem optymizmu, którego nie znał dotąd mimo dobroci wrodzonej, odrzucił wszystkie okrutne konkluzye, które zdawały mu się teraz rezultatem niedokładnie zbadanych przyczyn, gdy ujrzał obraz natury i ludzkości w zupełnie nowet świetle.

Iclea też potrosze zabrała się do nauki, ale uczucie nowe, olbrzymie wypełniało teraz jej serce, utraciła już dawną zdolność do pracy umysłowej. Miłość pochłaniała ją całkowicie, młoda dziewczyna patrzyła tylko wzrokiem Jerzego, działała jego wolą. Gdy siadła do fortepianu wśród wieczornej ciszy, by zagrać jednę z sonat Szopena, albo swym czystym i przejmującym głosem śpiewała norweskie pieśni Griega i Bulla, to wreszcie melodye Gounoda, mogłaby przysiądz, że na całym świecie nikt tylko Jerzy te utwory natchnienia pojąć jest zdolny.

Co za rozkoszne chwile młody uczony spędzał tam w bibliotece, goniąc wzrokiem fantastyczne kółeczka dymu wschodniego cygara, podczas gdy

ona śpiewała słodkie *Saetergientes Sondag* swojej ojczyzny, lub wprawnemi palcami swawoląc po klawiaturze, wyrzucała perełki serenady don Juana.

Nadeszła wiosna, a z nią zaraz w Maju uroczystości wystawy powszechnej, o których wspomnieliśmy na początku opowiadania, mały ogródek górujący nad miastem, stał się Edenem zakochanej pary. Przepędziwszy w Algierze parę zimowych miesięcy, ojciec Iclei wrócił z kolekcyą arabskiej broni, którą miał uzupełnić bogate zbiory swego muzeum.

Stary żołnierz pragnął już jechać do domu, a ślub jedynaczki miał się odbyć w Norwegii punktualnie w rocznicę zjawiska.

Latem już wszyscy troje udali się do Chrystyanii. Spero zamierzał spędzić tam całą jesień i w dalszym ciągu prowadzić obserwacye zorzy północnej, tak zajmujące a ledwie rozpoczęte podczas zeszłorocznej bytności.

Ta podróż była dalszym ciągiem snu rozkosznego. Jasnowłosa córa północy rzuciła czary na przyjaciela, który byłby dla niej zapomniał o swoich studyach, gdyby i ona sama nie żywiła pragnienia wiedzy.

Doświadczenie rozpoczęte w ostatnich czasach, a dotyczące elektryczności atmosferycznej, zajmowały gorąco jej umysł, ona równie jak on pragnęła poznać naturę tajemniczych płomieni zorzy północnej, drgających wieczorami na horyzoncie a ponieważ chcąc zbadać rzecz u źródła, potrzeba było wznieść się balonem do znacznej wysokości i ona także w tej wycieczce chciała wziąć udział. Jerzy tłomaczył, perswadował, gdyż powietrzna jazda przedstawia zawsze niebezpieczeństwa, których unikać trudno, ta właśnie okoliczność wpłynęła jeszcze bardziej na jej postanowienie, robiąc ją głuchą na prośby Spera.

Po długiem wahaniu, Jerzy zdecydował się zabrać z sobą Icleę i oznaczył termin wycieczki na pierwszą noc zorzy północnej.

V.

Zorza północna.

Poruszenia igły magnesowej zapowiadały przyjście zjawiska jeszcze przed zachodem słońca. Zaczęto też niezwłocznie napełniać balon wodorodem, a na północnej stronie nieba, ukazały się przezroczyste zielonkowate błyski złota, które są zazwyczaj zwiastunami zorzy. W przeciągu dwóch godzin ukończono przygotowania. Atmosfera wolna od chmur była czystą zupełnie, gwiazdy błyszczały wśród ciemności głębokiej, łagodzonej z północy bladawem światłem, unoszącem się w kształcie łuku ponad szarym odcinkiem koła i rzucającem z wysokości już to różowe już to zielone blaski, które wydawały się drganiem jakiegoś nieznanego życia.

Ojciec Iclei obecny przy napełnianiu balonu nie domyślał się jej zamiarów, w ostatniej już chwili dziewczę weszło do łódki, niby przez ciekawość, Jerzy dał znak i olbrzym wzniósł się wolno, majestatycznie po nad miasto, które połyskiwało tysiącem świateł u stóp powietrznych żeglarzy, drobniejąc coraz bardziej i niknąc prawie w miarę odległości.

Pędząc w kierunku ukośnym, balon mknął dalej po nad wioskami, drobne światła pogasły, jednocześnie umilkł gwar miasta, cisza bezwzględna, głęboka, zaległa przestrzeń. Pod wrażeniem tej ciszy, niemal złowrogiej, a może chłodu nocy i niezwykłości sytuacyi, tuliła się Iclea do piersi towarzysza.

Balon szedł coraz wyżej z wielką szybkością. Zorza północna zawisła pod gwiazdami falującą draperyą z purpury i złota, poruszaną od czasu do czasu elektrycznem drganiem.

Jerzy pilnował swoich narzędzi, notując wskazówki odnośne do wysokości, balon szedł w górę. Co to za radość dla badacza, bo oto znajdzie się niebawem na szczycie zorzy, pozna jej wysokość uzyska odpowiedź na ważne pytanie, którego dotąd nie rozstrzygnęli fizycy ani nawet ulubieni jego pyschologowie Oersted i Ampère.

Iclea uspokoiła się nieco.

— Bądź dobrej myśli! — zawołał towarzysz. — Balon jest pewny, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, wszystko jak w zegarku. Za godzinę znajdziemy się na ziemi, w powietrzu cicho, najlżejszy wietrzyk nieporusza drzew.

— Ja się nie boję! — rzekła Iclea oblana potokiem światła, przezroczystej jasności — ale to szczególne, piękne, cudowne. To za wielkie dla mnie małej... Drżałam przez chwilę. Zdaje mi się, że kocham cię więcej niż kiedykolwiek.

I zarzuciwszy mu ręce na szyję, objęła go uściskiem przeciągłym, namiętnym.

Balon krążył wśród ciszy powietrznemi szlaki, kula gazu objęła delikatną, jedwabną powłokę, przez którą z łódki dojrzéć było można prostopadłe pasy, łączące się w górze, na samym wierzchu, w obrębie klapy. Ciemna jasność gwiazd, jak mówi Corneille, błysków zorzy dozwalały odróżnić całość balonu. Łódka zawieszona na siatce, opasującej jedwabną jego powierzchnię, trzymała się na ośmiu tęgich sznurach, wplecionych w drzewo i spadających u stóp młodej pary.

Milczenie było głębokie, uroczyste, dosłyszyć by można uderzenia ich serc. Przycichły już zupełnie ostatnie szmery ziemi. Znajdowali się teraz na wysokości pięciu tysięcy metrów; pędząc z szalonym pośpiechem; wiatr unosił powietrzny statek, a oni w łódce nie czuli jego prądu. Sami jedni w tej nadpowietrznej krainie, nasi podróżnicy doznawali uczucia błogości jakie ogarnia serca aeronautów, skoro odetchną powietrzem lekkiem, przejmującem, zapomniawszy o nędzy i marnościach ziemskiego życia; oni więcej niżli ktokolwiek z ich poprzedników rozumieli niezwykłość sytuacyi podnosząc jej znaczenie uczuciem własnego szczęścia.

Rozmawiali półgłosem, lękając się może, by ich nie podsłuchali aniołowie i aby nie pierzchnął czar utrzymujący dwie dusze w sąsiedztwie nieba... Niekiedy nagłe blaski, promienie zorzy północnej olśniewały ich wzrok, po chwili znowu, przestrzeń niknęła w ciemnościach jeszcze głębszych.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Śmiej się.

Śmiej się dziewczę... pókiś młoda,
Póki krasa świeci:
Póki w piersi tkwi swoboda,
Zdala zdradne sieci.

Śmiej się!... póki tło rozkoszy
Jasną barwą wionie;
Póki nic uciech nie płoszy,
Serce bije w łonie.

Śmiej się!... póki ci nadziei,
Błyszczą złote mary,
Pókiś na złudzeń kolei,
Zdobna w ziemskie dary.

Śmiej się!... póki więzy świata
Nie cisną twej dłoni,
Póki miłość wieńce splata,
Dla dziewiczej skroni.

Śmiej się!... póki łza radości
Jest ci tylko znana;
Póki wiara w sercu gości,
Dusza nieskalana.

Bo gdy zwątpień łzę uronisz,
Żegnaj się z uśmiechem!...
O!... już szczęścia nie dogonisz,
A śmiech... będzie grzechem!

R. Ratyńska.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Tymczasem Endymion nie czuje się zadowolonym bynajmniej z przejażdżki, w której obiecywał sobie tak wiele przyjemności. Pozbawiony zupełnie towarzystwa ślicznej kuzynki, siedząc tyłem nie może nawet podziwiać zachwycającego uszka i jednej trzeciej uroczego profilu, ukazującego się od czasu do czasu z po za popielatego parasolika. Korzystając więc z chwili, gdy hrabia z panną Maryą zagłębili się w artystycznej gawędce o perspektywie i kolorycie podolskiego krajobrazu, klęka na siedzeniu, opierając się o kozioł w ten sposób, że złotowłosa jego głowa ukazuje się pomiędzy hrabianką a stangretem.

— Strasznie niewygodna pozycya, jak dla oblegającego fortecę! — mowi wesoło, starając się utrzymać na wązkiem siedzeniu, co przy ciągłym ruchu pojazdu, przychodzi mu z niemałą trudnością. — Jeśli, szanowna kuzynko, zechcesz ciągle i stale barykadować się w ten sposób, to gotów jestem uwierzyć, że doznam porażki:

Dziewczyna rzuca po za siebie spojrzenie, a widząc niewygodne istotnie położenie pięknego panicza, wybucha srebrzystym, figlarnym śmiechem.

— Nie myśl tylko zarozumiały kuzynku, że umyślnie obrałam sobie to obronne stanowisko, z obawy przed potężnym twym urokiem! — odpowiada żartobliwie.

Twarz młodego człowieka zachmurza się.

— Czy to ma znaczyć, że obóz przeciwny lekceważy nieprzyjaciela do tego stopnia, iż nie myśli

się nawet oszańcowywać? — pyta z odcieniem gniewu w głosie.

— Nie lękam go się ani trochę.

— Dlaczegóż to Anno?! Zdaje mi się, że masz strasznie słabe pojęcie o mej męzkiej władzy — mówi Endymion coraz żywiej i z pewnem uniesieniem.

Rozdrażnienie jego wprawia śliczną dziewczynkę w tem lepszy humor. Śmiejąc się głośno, patrzy z wysokości swego stanowiska na zirytowanego nieprzyjaciela, ukazując mu przy tej sposobności dwa rzędy cudownej białości ząbków, połyskujących świetnie wśród purpurowych usteczek.

— Dlatego, że serca nie bierze się szturmem. Można je podbić ciągłą, długą, rozumną taktyką w ostatnim razie... ale nigdy przemocą!

Oczy pięknego kuzynka, poczynają błyszczéć hamowanym gniewem.

— Oh... oh... panno Anno! — wymawia szydersko. — Zamłodą jesteś by rezonować o tem, czem można lub nie można! Przekonam cię, że w mocy męzkiej jest narzucić miłość upartemu dziewczęcemu sercu.

Dziewczyna nie odpowiada, patrząc przed siebie zamyślonemi oczami.

— Mylisz się zupełnie. Jestem przekonana, że nie ma tej mocy ani prawa — odpowiada zwolna z silnym naciskiem.

— Na jakiej podstawie opierasz ten pewnik, doświadczona kuzynko? — woła złośliwie złotowłosy nieprzyjaciel, wycofując głowę z pomiędzy siedzących na koźle i stając w faetonie.

Dziewczynka jest istotnie zamłodą na to, aby określić jasno słowy to, o czem zaledwie nie wyraźnie ostrzega ją instynkt serca. Nie jest ona bynajmniej rozmarzoną heroiną, tęskniącą do nieznanej miłości, o której w ogóle przez krótki przeciąg swego żywota, rozmyślała bardzo mało. Wyprowadzona na podobną utarczkę przez bałamuta kuzynka, czuje się w tej chwili głęboko upokorzoną swą naiwną nieświadomością. Ma oto najsilniejszą świadomość, przychodzącą jej sama nie wie zkąd i jakim sposobem, iż sercu jej należy się prawo swobody zupełnej i nie może odnaleźć na razie żadnej rozumnej myśli, którąby się dało wyrazić pięknemi słowy. Znajduje się z tego powodu w niemałym kłopocie. Zarumieniona, chmurna, przygryzając usteczka białemi ząbkami, tupiąc nóżką w dno faetonu, myśli z rozpaczą o pierwszej na tym punkcie porażce, w obec szyderskiego wroga.

— Dlatego... dlatego... — wymawia rozdrażniona, starając się ułożyć naprędce jakieś zdanie, można odeprzéć pytanie napastliwego kuzynka — że pierwszą podstawą miłości jest mimowiedna i mimowolna attrakcya — podpowiada jej ktoś cichym szeptem.

Słowa te wychodzą z ust stangreta Jana, brzmiąc dość oryginalnie przy piaskowym surducie z herbowemi guzikami i liberyjnym kapeluszu z lakierowaną kokardą. Niestosowności te przecież nie mają kogo dziwić, gdyż nie słyszy ich nikt prócz panny Anny, która z swej strony nie ma czasu zastanawiać się nad takiemi rzeczami, będąc całkowicie zajętą żywą rozmową.

— Dlatego, że pierwszą podstawą miłości jest mimowiedna i mimowolna attrakcya! — wymawia prędko z głębokim tryumfem.

Argument ten zbija na chwilę z toru pięknego Endymiona, który milcząc, szarpie niecierpliwie złocistego wąsa.

— Jesteś strasznie doświadczoną, kuzynko Anno i musiałaś się już kochać ze sto razy? — odpowiada szydersko.

Dziewczyna wysuwa dumnie dolną wargę, wzrusza wzgardliwie ramionami, odwracając się z czupurnie wyniosłą minką, co czyni ją jeszcze cudniejszą.

Endymion opiera się znowu o kozioł, zaglądając jej w oczy.

— Nie kochałaś nigdy? nikogo? z pewnością?

— Nigdy, nikogo. Chowam me serce w zupełnej uczuć czystości dla ciebie Endymionie.

— Nawet ideału, wymarzonego w snach własnych?

— Nie posiadam żadnego ideału. Kładę się zaś do łóżka po to, by zasypiać nie marzyć o kimś ulepionym z mgły i dymu — odpowiada rozkoszny przeciwnik tak szczerze, że Endymion parska śmiechem a Jan uśmiecha się także nieznacznie.

— Oh, kiedy tak! kiedy nie znasz żadnego widomego ideału, od którego różniłaby się zbytecznie nieszczęsna moja osoba, to nie zupełnie jeszcze zginąłem!

— Nic niebezpieczniejszego, jak złudzenia! — przerywa mu Anna złośliwie. — Marzenia moje nie przybrały jeszcze wprawdzie stałych konturów: lecz jestem pewną, iż nie sformułują się nigdy na podobieństwo twoje.

— Jakiegoż u licha szukasz człowieka! o kobieto bez serca?! — woła z komicznym patosem młody człowiek.

— Nie wiem — odpowiada dziewczynka z głęboką naiwnością.

Hrabia gospodarz rozkazuje jechać prędzej i faeton toczy się dziarskim kłusem, przez gęsty las dębowy.

Rozmowa przerywa się naturalnie.

Endymion siada na swem miejscu i milczy.

Panna Anna siedzi na swem wyniosłem stanowisku, obracając w rączce parasolik, który złożyła korzystając z cienia lasu i myśli zupełnie seryo, jaki naprawdę powinien być pod względem fizycznym człowiek, któregoby pokochała?

Nie wymyśla przecież nic.

Nie może stworzyć sobie tego obrazu, w żaden sposób i z zadowoleniem, do którego miesza się przecież szczypta upokorzenia, przyznaje sobie, że nie jest wcale panną romansową.

— Doprawdy, że tateczko ma chyba racyę, twierdząc iż jestem tylko wielkiem dzieckiem! — mówi sobie w duchu, markotnie. — Moje wszystkie koleżanki z pensyi i dzieciństwa, kochały się już po dwa i trzy razy. Amelka wyszła za mąż od półtora roku, Antolka tak jak zaręczona... a ja nic i nic! Zdaje się, że nie zakocham się już nigdy.

Dalszy ciąg rozmyślań przerywa jej przypomnienie, że w czasie potyczki z Endymionem, w chwili krytycznej, przyszedł jej z pomocą Jan stangret.

Myśl ta uderza ją olśniewając jak błyskawica. Obraca się szybko do sąsiada, patrząc na niego ciekawością błyszczącemi oczami.

Lecz na twarzy młodego stajennego nie spostrzega teraz nic ciekawego. Siedzi on najspokojniej na swem miejscu, odganiając biczem wielkiego bąka, kręcącego się uparcie nad grzbietem lejcowego konia, który opędza mu się rozpaczliwie.

— Jakżeś ty to przed chwilą powiedział, Janie? — pyta go żywo, cichym głosem.

Jan podnosi na nią zdziwione oczy.

— Ja? proszę jaśnie pani, nie mówiłem nic — odpowiada pytającym głosem.

— Powiedziałeś mi coś przecież. Jakie to było to zdanie?

Na twarzy Jana, maluje się coraz większe zdumienie.

— Nie mówiłem nic, jasna pani! — wymawia z wielkiem uszanowaniem, patrząc przecież na nią takim wzrokiem jakby lękał się, iż ma przed sobą osobę nie ze wszystkiem zdrową na umyśle.

Dziewczynka uważa to wszystko i uśmiecha się.

— Nie mówiłeś nic? z pewnością? No, to być może — odpowiada łagodnie, odwracając się w drugą stronę.

Dalszy ciąg przejażdżki odbywa się bez żadnego ważniejszego wypadku. Faeton posuwa się teraz ciągle bardzo szybko i na rozmowę pomiędzy jadącymi nie ma czasu.

Hrabia i panna Marya zamieniają tylko czasem kilka artystycznych uwag pomiędzy sobą.

Endymion, panna Anna i stangret, milczą stale. Siwosze pomimo wybryków przy wyjeździe i kilku niewinnych szaleństw w ciągu spaceru, sprawiają się wybornie, pod sam wieczór przywożą wszystkich zdrowo i cało przed ganek pałacowy.

* * *

Niedziela, godzina pierwsza z południa. Wszystko co żyje w siole powędrowało lub pojechało do cerkwi czy kościoła.

Głęboka, świąteczna cisza panuje w podwórzu, między zabudowaniami folwarcznemi. Na piasku pod pługami i wozami wygrzewają się stadka kur pstrokatych, nad któremi objął straż honorową czerwony, wielki kogut, spoglądający zuchwale z pod opadającego mu na oko grzebienia, na starego, nastroszonego indyka, paradującego wspaniale około melancholijnych indyczek, wydziobujących resztki chudego ziarna z porzuconych na ziemi kłosów wymłóconej już słomy.

Są to dwaj podwórzowi Don Żuani, cieszący się pośród wrzaskliwej, skrzydlatej rzeszy, ustaloną reputacyą nieulękłych awanturników. Sławę tę podtrzymują pojedynki nieustające, których widome ślady czernieją gęsto na podrapanych koralach i poturbowanym grzebieniu bohaterskich przeciwników.

W tej chwili trwa przyjemne zawieszenie broni. Straszna walka tocząca się tu przed minutą w ciszy ciepłego południa, wyczerpała siły rycerzy, zmuszając ich do wypoczynku. Jedna z uczuciowszych indyczek ogląda jeszcze osłupiałem niezbyt inteligentnem okiem, kilka piór skrwawionych, zalegających smutny plac boju.

Ambicyi wojowników stało się zadość. Dzielnością zapasów wprowadzili w zdumienie swoje haremy i spoglądają na siebie z zadowoleniem.

Oddając się z rozkoszą przyjemności spoczynku na laurach, zwracają niekiedy obaj ukradkowe spojrzenia na pysznego pawia, siedzącego wysoko na drabince po nad ich głowami. Fizyonomie ich przybierają wówczas, musimy to przyznać z przykrością, wyraz o wiele mniejszej pewności siebie.

Lecz wspaniały książę kurnikowego narodu, nie ma teraz czasu zwracać uwagi na niesforny proletaryat swego państwa. Wdrapawszy się na najwyższy szczebel przeciągniętej na dach stodoły drabiny, ma on w tej chwili kłopot z własnym ogonem, który podrzucany z boku lekkim podmuchem wietrzyka, grozi wytrąceniem go z wielkim wysiłkiem utrzymywanej równowagi.

Zbytek osobistego przepychu, sprawia mu straszny kłopot, zużywając całkowicie jego uwagę. Uciążliwy ten majestat wywiera przecież na ma-

łuczkich mimowolnie imponujące wrażenie. Gromadka spłoszonych gołębi oblatując w bezchmurnych przestworach nie śmie przysiąść na dachu kryjącym ich gniazda z uszanowania przed despotycznym ptakiem, spędzającym je zwykle z murowanego szczytu, przynależnego, jak sądzi, jego tylko osobie.

I tu siła przed prawem, jak gdyby ptasza ta rzesza uczyła się tego od cywilizowanych narodów.

Zupełnego spokoju, panującego między gumnami, nie przerywa żaden odgłos ludzkiego istnienia. Ze stajen i obór dochodzi tylko czasem porykiwanie bydła i parskanie koni wraz z towarzyszącem mu podzwanianiem łańcuszków u żłobów.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

TEATR.

Nie wypada, komedya w pięciu aktach przez Michała Wołowskiego i Józefa Kotarbińskiego.

Dawno, bardzo dawno temu, niewinna panienka córka zamożnych obywateli ziemskich, została zbałamucaną przez młodego nauczyciela, który miasto bogacić umysł swej uczenicy w zasoby wiedzy, dawał jej lekcye fizyki eksperymentalnej. Nieuczciwego pedagoga wypędzono sromotnie z domu, pannę wydano za ziemianina nazwiskiem Rembo, malutki zaś chłopczyk, owoc tajemnych miłostek dostał się pod opiekę uwodziciela. Ów Trzaska (takie bowiem miano nosił nadużywający zaufania chlebodawca pedagog), dał swemu synowi wyższe wykształcenie i stanowisko adwokata, sam zaś zajmując w hierarhii społecznej skromną posadę sekretarza, zszarzał się, rozpił, wykoleił i upadł moralnie.

Od tej pamiętnej chwili minęło lat trzydzieści. Pani Rembowa owdowiawszy zamieszkała przy bracie p. Powsińskim, poczciwym z gruntu lecz nieposiadającym zbyt wielkiej bystrości umysłu szlachcicu. Napojona od dzieciństwa arystokratycznemi zasadami, popychała brata na kandydaturę poselską, ażeby tym sposobem wejść w uprzywilejowane sfery towarzystwa i wydać jego córkę Manię za jakiego panicza. Powsiński choć niechętnie uległ namowom siostry i spraszał wyborców na bale, obiady, bibki, celem pozyskania ich głosów. Oprócz niego stanęło jeszcze dwóch pretendentów do poselskiego krzesła: pan Szydłowiecki przedstawiciel oportunizmu i p. Lidzki adwokat postępowy demokrata. Ten ostatni, bohater sztuki jest właśnie owem nieprawem dzieckiem. Zjawia się Trzaska pokorny, uniżony, potulny na pozór, lecz umiejący ciąć verba veritatis gdy idzie o ukochanego syna, lub wylanie żółci na zardzewiałych w odwiecznej rutynie konserwatystów. Położenie się zaostrza. Wyborcy podburzeni za pośrednictwem matki (która nie wie jak blizkie łączą ją stosunki z Lidzkim) przez literata Maciukiewicza, nie chcą mieć przedstawicielem podrzutka, ten zaś wypaliwszy tendencyjną tiradę, kiereszuje pałaszem oblicze mieszczanina Bąbełkiewicza, najniewinniejszego może z oponentów, gdyż rzeczywisty winowajca dziennikarz wychodzi z awantury bez szwanku, odmawiając pojedynku. Naturalnie samorodny hreczkosiej zostaje posłem arystokratyczne idee pani Rembowej odnoszą tryumf, a demokracya przedstawiona w postaciach frazeologa Lidzkiego i starego pijaczyny Trzaski, idzie w świat szeroki szukać szczęścia i prozelitów swych poglądów.

Na tem głównem tle komedyi, autorowie skreślili jeszcze kilka epizodów, które wiążą się z całością sztuki. Są tam sceny małżeńskie tolerującego skandale swej żony Szydłowieckiego, romansik tegoż z byłą przełożoną pensyi panną Janiną Sulicz; chłodna a w samym zarodku przerwana miłość Mani córki Powsińskiego do adwokata, wszystko to jednakże zręcznie w ogólną akcyę wplecione, nie rozstrzela uwagi widza i nie tamuje scenicznego ruchu.

Komedya „Nie wypada” jest bezwarunkowo tendencyjną. Zwolennicy tego rodzaju utworów dramatycznych twierdzą, że jeżeli można wygłaszać swoje teorye z estrady prelegenta lub drukować je w szpaltach dzienników, jeżeli wolno powieściopisarzowi wcielać je do romansów i nowelli, dlaczego moralista nie miałby prawa użyć sceny dla wypowiedzenia własnych przekonań? Tak jest, ale żeby to było racyonalnem należy dowieść prawdziwości głoszonych idei. W sztuce pp. Wołowskiego i Kotarbińskiego widzimy czego autorowie chcą, lecz sposób postępowania osobistości do komedyi wchodzących, daje wprost przeciwny rezultat.

Tam przedstawiciele konwenansu towarzyskiego, owych form, które w tak zwanym wyższym świecie starczą za serce, za uczucie, za polot ducha, mają poniekąd słuszność, gdy tymczasem pionierowie postępu szwankują na każdym kroku. Główną reprezentantką konserwatyzmu panią Rembową, trudno bezwzględnie potępić za to, że nie chce do rodziny wprowadzić człowieka choćby zacnego nawet, lecz bez nazwiska; z drugiej strony uczucie macierzyńskie nie przychodzi na zawołanie po upływie lat trzydziestu u kobiety niewiedzącej nawet o egzystencyi swego dziecka. Mania wyszłaby ze swego charakteru naiwnej panienki, biorąc zbyt poważnie przelotne wrażenia dziecięcej niemal skłonności, co się zaś tyczy samego papy, dobrodusznego szlachcica, ten pomimo swego zacofania, rubaszności, braku inteligencyi, obudza szczerą i niekłamaną sympatyę. Zostaje wprawdzie żona Szydłowieckiego, lekkich obyczajów osóbka, lecz czyliżby ona była taką gdyby posiadała innego męża!

Teraz zobaczmy pionierów postępowej idei, owych tytanów dźwigających na swych barkach wielkie zadanie zreformowania skarłowaciałego społeczeństwa. Naprzód sam bohater, adwokat Lidzki który ciągle peroruje na narowy pańskie, potępia istniejący na świecie porządek a nic zgoła nie czyni, niczego nie dowodzi, jestże tak powiem uosobistnieniem owych luźnych teoryi, maksym niedokładnie określonych, form abstrakcyjnych, jakiemi zwykle szafują dwudziesto-kilkoletni mędrcy, gdy powezmą szlachetny zamiar wykształcenia w nowoczesnych zasadach swych ojców i dziadów? Gorzej nierównie przedstawia się jeszcze drugi typ zwolennika pozytywizmu Trzaska. Będąc młodzieńcem odpłacił chlebodawcom czarną niewdzięcznością otrzymane dobrodziejstwa uwiódłszy ich córkę, dojrzały mąż splugawił swój żywot poddając się obydnemu nałogowi pijaństwa, starzec zmalał jeszcze bardziej, spokorniał kryjąc na dnie duszy jad nienawiści do ludzi godniejszych od siebie, a jeżeli w końcu sztuki występuje z morałami, to one w jego ustach wyglądają jak nauki wygłaszane przez tych, którzy sami nienauczywszy się niczego pragną innych oświecać. Wprawdzie człowiek ten okazał miłość ojcowską dla syna, ale tu krew przemówiła więcej nic. Wszakże i dzikie zwierzęta nieinaczej postępują. Do rzędu prozelitów postępu zaliczyć jeszcze należy młodą nauczycielkę pannę Janinę, lecz wspomniana postać naszkicowaną jest tak niewyraźnie, iż właściwy charakter jej pozostaje dla nas trudną do rozwiązania zagadką.

Typy dwóch łyków mieszczańskich Bąbełkiewicza pyszniącego się swem małomiasteczkowem obywatelstwem i Łopackiego zucha po pijanemu a tchórza w stanie trzeźwym, wybornie są skreślone. Jeszcze świetniej z pod pióra autorów wyszła z natury wzięta fotografia literata Maciukiewicza. Tak postępują dziennikarze, którzy chcąc zgubić inaczej wierzących, miasto przytaczania w polemice argumentów, nazywają brutalnie swych przeciwników robakami, mikrobami, kretynami, posuwając się nawet do zarzucenia im postępków niemoralnych, a w razie wyzwania odmawiają zadosyć uczynienia za wyrządzoną obrazę.

Streszczając niniejsze sprawozdanie, powiemy że komedya „Nie wypada” napisaną jest z talentem. Barwność słowa, żywość dykcyi, wzrastający z biegiem sztuki interes, kilka zręcznych efektów stanowią jej dodatnie strony: do ujemnych, oprócz naciągniętej gwałtownie na temat pozytywizmu tendencyi, zaliczę zbyt długie monologi, leniwą akcyę ostatniego aktu i... (choć to może drobnostka) zbyt często powtarzające się wyrażenie Powsińskiego, o dawaniu buzi z dubeltówki. Byłoby to wybornem zacięciem staroszlacheckiem, gdyby wypowiedziane zostało raz, dwa, wreszcie dziesięć razy, ale naliczyliśmy tych podwójnych wystrzałów mających spocząć na ludzkiem obliczu trzydzieści sześć w dwóch pierwszych aktach tylko!

Zapełniająca szczelnie salę teatralną publiczność, nie szczędziła artystom i autorom zasłużonych oklasków, czasami jednak owe oznaki zadowolenia użytemi zostały nie w porę. Pojąć np. nie możemy z jakiego powodu huknęły rzęsiste brawa, gdy Lidzki ustami p. Kotarbińskiego potępia przedajność prasy. U nas są towarzystwa wzajemnej adoracyi, jest stronność w krytyce, protegowanie swoich blizkich z ujmą zasłużeńszych, ale dotąd nikt chwała Bogu piórem swojem nie frymarczył, podobna więc manifestacya w Warszawie nie ma racyi bytu.

Artyści nasi grali koncertowo. Pan Ostrowski obrabiając tylokrotnie jedne i też same typy umiał uniknąć monotonii dodawszy do rubasznej postaci starego szlachcica pewne nowe odcienie, mianowicie w chwili, gdy tenże naśladuje rozmaitą intonacyę sposobu mówienia wyborców. Pan Kotarbiński porwał słuchaczów swoją wyborną dykcyą i pełną życia werwą. Panna Czaki dostawszy tym razem odpowiednią rolę, święciła w niej jeszcze jeden tryumf więcej; szybko wyrabiający się talent panny Noiret wynagrodzony został głośnemi objawami zadowolenia. Bąbełkiewicz w osobie pana Grzywińskiego był mieszczuchem z ciała krwi i kości a panu Szymanowskiemu szczere się należy podziękowanie, za znakomite przedstawienie komicznej figury podszytego zajęczą skórką Łopackiego. Wszyscy inni bez żadnego wyjątku zasługują na gorące pochwały, widocznie podejmując trudy dla kolegi w scenicznym zawodzie, pracowali po koleżeńsku.

Ludwik Niemojowski.

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Wybornie się składa, że spotykam ciebie, mój zięciu — zaczęła pani Maleyra — bo też w istocie należało najpierw udać się do ciebie. Przychodzę tu w poselstwie dotyczącem bardzo ważnej kwestyi.

— Słucham cię, matko, mów proszę.

— Mój panie zięciu, przyszłam cię prosić o rękę twojej siostry panny Genowefy Levallier dla mojego przybranego syna Lucyana.

Maksym cofnął się wstecz jakby nastąpił na jadowitą gadzinę.

— O rękę mojej siostry — powtórzył niemogąc pojąć, aby człowiek który kochał Katarzynę, chciał się żenić z Genowefą.

Jakże srodze pomylił się wydając sąd o tym człowieku, mniemał, że był szlachetnym i wspaniałomyślnym a przekonał się, że zasługuje na miano nędznika.

Co za piekielne wyrachowanie kryło się pod tym przewrotnym postępkiem, i jak Lucyan miał czoło wciągnąć do spisku niedomyślającą się niczego matkę Katarzyny?

— Panie — zaczął surowym głosem pan Levallier, ochłonąwszy nieco z pierwszego wrażenia — Genowefa jest sierotą i prócz mnie nie ma innego opiekuna na świecie, ja więc jestem odpowiedzialny za jej szczęście, które jest dla mnie droższe niż moje własne. Nie sądź pan abym starał się nakłonić ją do małżeństwa, któreby się nie zgadzało z jej przekonaniem. W tym razie zostawiam siostrze mej zupełną wolność.

— I słusznie robisz, Maksymie, potwierdziła pani Maleyra, a postąpiwszy ku drzwiom uchyliła portiery wołając:

— Genowefo! Co to znaczy, że Genowefa tak długo nie wraca, czyżby Kasia bardziej była cierpiąca? Pięć minut już dawno upłynęło. Ah! otóż i ona.

Pani Maleyra objęła ramieniem giętką kibić młodej dziewczyny i poprowadziła ją w stronę gdzie stali Maksym i Lucyan.

— Jakże się miewa twoja śliczna bratowa? — spytała żartobliwie.

— Wiele lepiej, dziękuję pani.

— Cieszy mnie to niewymownie, mój aniołku — odparła swobodnie pani Maleyra. A teraz powiedz nam szczerze, bratu, mnie a nadewszystko Lucyanowi, czy zgodziłabyś się zostać dozgonną towarzyszką tego ostatniego?

Pani Maleyra mówiła powyższe słowa spokojnym i obojętnym na pozór tonem lecz w głębi duszy nie czuła spokoju, tajemna trwoga ściskała jej serce i ciężarem tłoczyła piersi. Można to było zgadnąć po akcencie z jakim wypowiedziała następujące zdanie.

— Czy masz odwagę złożyć twą dłoń w dłoni, która się wyciąga ku tobie z prośbą o wsparcie i pokrzepienie?

Genowefa zmieszała się niewymownie. A więc to ją Lucyan wybrał chcąc zastosować się do warunku narzuconego mu przez Maksyma? W sercu jej bolesna rozpoczęła się walka, sama nie potrafiłaby zdać sobie sprawy w tej chwili z uczuć i wrażeń plączących się bezładnie w jej głowie. Duma wołała:

— Odmów, nie przyjmij resztek uczucia, które ciskają ci z musu.

Miłość zaś do Lucyana i przywiązanie do własnej rodziny, szeptały jej cichutko:

— Zgódź się, zostań żoną Lucyana.

— Genowefo — odezwał się Maksym — rozkazuję ci odrzucić powyższą propozycyę.

— Co ci przyszło do głowy, oszalałeś chyba, Maksymie? — zawołała z oburzeniem pani Maleyra.

A korzystając z oszołomienia obydwóch mężczyzn, szepnęła szybko do ucha Genowefy:

— Ty jedna możesz wszystkich ocalić.

Genowefa podniosła ku niej oczy promieniejące wilgotnym z po za łez blaskiem i rzekła zwracając się do artysty:

— Przepraszam pana ale muszę pierwej rozmówić się z moim bratem. Bądźcie państwo tak łaskawi i zostawcie nas samych.

— Dobrze, dobrze — odparła z żywością pani Maleyra.—Chodźmy Lucyanie. Za godzinę przyjdź się dowiedzieć jaki cię czeka wyrok.

Brat i siostra pozostali sami.

— Ten człowiek oświadczył się przed chwilą o twoją rękę! — zawołał pan Levallier — lecz muszę cię ostrzedz Genowefo: on cię nie kocha.

— Wiem o tem.

— Skoro wiesz, dlaczego wahasz się i ociągasz z odmową. Nie pojmuję cię wcale...

— Waham się dlatego, że go kocham Maksymie.

— Kochasz? Ty, Genowefo kochasz?

— I cóż w tem dziwnego? Czyż oddawna nie powinieneś był domyślić się prawdy? Wszystkie smutki i niepokoje, o których przyczynę pytałeś mnie tyle razy, z jednego tylko wypływały źródła. Kocham Lucyana głęboką, bezgraniczną miłością, pragnęłam być chociaż jego przyjaciołką, mamże się wahać zostać jego żoną? Dostaje mi się w udziale więcej niż żądałam i bądź pewny, że dobrowolnie nie odepchnę od siebie szczęścia.

Dwie grube łzy stoczyły się po licu pana Levallier.

— Kochasz go, kochasz — powtarzał smutnym, wzruszonym głosem.

Nie dość mu było własnego nieszczęścia, trzeba żeby na domiar złego i Genowefę podobny los spotkał.

— Ah! po co wpuściłem tego człowieka do mojego domu, po co mówiłem mu o małżeństwie! powtarzał sobie w duchu biedny człowiek z rozpaczą. Lucyan dostrzegł zapewnie przywiązanie młodej dziewczyny, którego nie potrafiła dobrze ukrywać na dnie swego dziewiczego serduszka i postanowił z niego skorzystać... Połączenie z Genowefą będzie dlań wygodnym płaszczykiem. Ah! co za przewrotność, jaka obłuda nigdy nie spodziewałbym się po nim czegoś podobnego. Jak można lekceważyć tak namiętne uczucia?... Nikczemny, mniemał że zdoła mnie oszukać, przerachował się jednak, nie stanę się w jego rękach bezmyślną igraszką, którą radby naginać podług swej woli!... Biedna moja siostrzyczko, nie zaznałaś jeszcze radości a już czekają cię łzy i cierpienia! Czar jakim ja poiłem się nieoględnie, ciebie teraz odurza! Chciałbym cię uchronić od goryczy rozczarowania i zawodu i w tym celu muszę przed tobą wyznać choć część prawdy, pokazać ci ciernie o które sam pokaleczyłem się tak boleśnie!

Kończąc ten wewnętrzny monolog, Maksym westchnął ciężko i zaczął mówić zwolna, cichym, wzruszonym głosem:

— Dziecię moje, chciałbym ci powiedzieć więcej niż rozum i serce wyznać mi pozwalają... Jesteś tak młodziuchna, że nie rozumiesz, nie znasz prawdziwego cierpienia i daj Boże, abyś go nigdy nie poznała. U ciebie łzy rozpływają się w uśmiechu... Nie potrzebuję ci powtarzać, że dla zapewnienia twojego szczęścia nie cofnąłbym się przed największą ofiarą, że pragnę cię ochronić od burz i zawodów tego życia, od bezużytecznych poświęceń i bolesnego rozczarowania, lecz musisz mi dopomódz w tem usiłowaniu, Genowefo, musisz zastosować się do mojej rady... Jesteś młodą i piękną, pełną powabów i zalet, lecz cnoty twoje są raczej cichemi cnotami domowego ogniska a nie owemi błyskotliwemi przymiotami, które od jednego spojrzenia ujarzmiają mężczyznę. W małżeństwie powinna być zupełna równość, źle jeśli mąż lub żona uczuwa swą wyższość, harmonia znika gdy wcześniej lub później strona poniżona dozna goryczy wypływającej z otrzymanej łaski... Zastanów się dobrze zanim powiesz stanowcze słowo; wierz mi, nie będziesz szczęśliwą z człowiekiem wrażliwym jedynie na piękność zmysłową, niezdolnym ocenić twoich przymiotów i niemogących ofiarować ci nawet jałmużny uczucia!

Dziewczyna słuchała go ze spokojnym na ustach uśmiechem i wyrazem cichej rezygnacyi w twarzy. Widać że to co usłyszała teraz nie było dla niej nowością.

— Nie sądź, że jestem zbyt zarozumiała i że zanadto ufam sobie — rzekła — znam siebie doskonale i znam również jego, wiem że tylko rozpacz popchnęła go na moją drogę.

— Jaka rozpacz? — zawołał Maksym przestraszony myślą, że dziewicze serce odgadło bolesną prawdę.

— Nie wiem i nie badam tego Maksymie, dość mi na tem, że Lucyan cierpi, chcę ułagodzić, ukoić jego rany; będę dlań siostrą i przyjaciołką najwierniejszą... Zdaje mi się, że ten jest najszczęśliwszym kto potrafi żyć dla drugich i skarby swego uczucia poświęca dla ukochanych... Nie gniewaj się braciszku za moje zasady, bo przecież od ciebie je przejęłam.

— Ależ Genowefo, nie jesteś jego pierwszą miłością...

— Przystanę na jego przyjaźni i szacunku, Maksymie, miłość znajdzie się później...

Genowefa mówiąc to niezbyt wierzyła we własne słowa, lecz chciała tym sposobem dodać sobie odwagi i pocieszyć Maksyma.

— Muszę z czasem pozyskać jego miłość—rzekła sobie w duszy.

— Więc stanowczo chcesz wyjść za mąż?—spytał pan Levallier.

— Tak — odparła spokojnie młoda dziewczyna. — Idę natychmiast pomówić o tem z babcią.

Maksym westchnął lecz nie opierał się dłużej. Babcia była już zgrzybiałą staruszką i rada jej nie na wiele by się przydała. Maksym rozumiał to doskonale, że tylko on jeden mógł ocalić siostrę lecz w tej chwili stracił już prawie nadzieję, widząc stanowczy opór Genowefy.

— Czyście się już naradzili? — spytała pani Maleyra ukazując się we drzwiach. — Można już wejść?

Genowefa pobiegła do niej szczęśliwa, że ktoś przerwał nareszcie męczącą z bratem rozmowę.

— Owszem, prosimy panią.

— Cóż, czy potrafiłaś przezwyciężyć uprzedzenie brata?

— Nie zupełnie — odparł z goryczą pan Levallier. — Pomimo to projekt małżeństwa przychodzi do skutku.

— Bardzo się z tego cieszę.

— Nie ciesz się matko, ja nie uznaję się jeszcze za zwyciężonego.

— Spodziewam się, że złożysz broń wkrótce.

— Jeszcze raz proszę Genowefy, aby dobrze rozważyła co czyni.

— Jakto, mój zięciu, chcesz odejść gniewając się na mnie? Uśmiechnijże się i rozpogódź czoło, byłoby mi bardzo przykro gdybym wiedziała, że stałam się przyczyną twego smutku.

Pani Maleyra mówiła swobodnie i wesoło lecz skoro Maksym odszedł a ona pozostała sama z Genowefą, spytała ją zaraz z niepokojem.

— No i cóż?

— Myślę, droga pani nad tem co obowiązek czynić mi nakazuje — rzekła z prostotą dziewczyna.

— Zdaje mi się, że nie masz się nad czem namyślać.

— Przeciwnie, w głowie mojej panuje taki zamęt, że sama siebie ani uczuć moich nie rozumiem. Powiedziałam Maksymowi, że zgadzam się na małżeństwo z Lucyanem, lecz w istocie waham się jeszcze.

— Nie chcesz więc zapewnić szczęścia i spokoju bratu?

— Wątpię czy moje poświęcenie zdoła je ocalić.

— Nie powątpiewaj o tem ani na chwilę.

— W chwili stanowczej lękam się i trwożę, duma moja i godność osobista oburzają się na podobną ofiarę.

— Co mówisz Genowefo?

— Tak jest, pani, wyrzekam się marzeń o miłości wzajemnej, wiem że szczęście nie stanie się mojem udziałem, cierpię, lecz na dnie tego cierpienia kryje się pełna goryczy radość na samą myśl, że los mój połączę z losem pana Lucyana, że stanę się jego nieodstępną towarzyszką, że będę mogła wspierać go i pocieszać w każdej chwili. Serce moje przepełnia taka bezmierna dlań litość, że uczucie to staje się dla mnie rozkoszą i to właśnie przestrasza mnie.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że samolubne to uczucie zmniejsza doniosłość mojej ofiary.

— Ależ bynajmniej, moje dziecię.

— Bóg nie zechce mnie nagradzać za poświęcenie, które samo w sobie znajduje nagrodę. Chciałabym cierpieć więcej, aby zasłużyć na Jego miłosierdzie.

— Bóg zawsze wspierać cię będzie, kochanko! — zawołała pani Maleyra z głębokiem wzruszeniem. — Ufaj Mu a On cię nie opuści... Prawda że teraźniejszość w niezbyt jasnych przedstawia się barwach lecz miejmy nadzieję w przyszłości.

Genowefa westchnęła cicho, nie chciała w tej chwili myśleć o przyszłości.

Biedna, osierocona prawie od kolebki przez rodziców, mniemała że w miłości znajdzie to czego pragnęła tak gorąco. Lecz i miłość ją zawiodła, snać przeznaczeniem jej było cierpieć!

— Słyszę głos Kasi — odezwała się po chwili — odchodzę więc, sądzę bowiem, że lepiej będzie jeśli nie zobaczy mnie teraz.

Mówiąc to zwróciła się ku drzwiom przeciwległym.

— Genowefo! — zawołała trwożnie pani Maleyra — powiedzże mi, czy mogę oznajmić Kasi o twojem małżeństwie?

— Ha! jeśli pani sądzi, że to dla nich jedyny środek ratunku, to niech pani jej powie, że zostanę żoną Lucyana — szepnęło dziewczę łagodnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O BEZŻEŃSTWIE

POD WZGLĘDEM WPŁYWU NA DŁUGOŚĆ ŻYCIA.

W kwestyi tak ważnej, doktor Gedroyć przedstawił uwagi swoje, oparte na statystyce, godne jak największego rozgłosu.

Dr. Stark w pracy swej p. t. „Wpływ małżeństwa na śmiertelność w Szkocyi" przytacza tablicę, z której widać, że w każdym wieku liczba zmarłych jest większą między nieżonatymi; tak np. w wieku od lat 20 do 25 w ciągu jednego roku na 100,000 nieżonatych umarło 1,173, kiedy na taką samą liczbę żonatych umarło tylko 597 to jest tylko połowa. Różnica ogromna! W miarę wzrostu wieku różnica wprawdzie się zmniejsza, ale zawsze przewaga zostaje na korzyść małżonków... Z tablicy tej dają się wyprowadzić jeszcze następujące wnioski: średni wiek dla ludzi żonatych wypada z niej lat 59 i pół, kiedy ten sam wiek dla bezżennych wynosi tylko 40. A więc poczynając od lat 20 ludzie żonaci mogą mieć nadzieję dłuższego życia o 19 i pół lat, aniżeli żyjący w stanie wolnym. Oprócz tego mężczyzni jeszcze nieżonaci w wieku lat 20 — 30 umierają wogóle przed 40 rokiem, a zaledwie niekiedy dochodzą do lat 50. „Tacy — powiada Stark — którzy doszli do lat 40, a tem bardziej tacy, którzy przeszli 50, mogą być uważani za prawdziwych wybrańców."

Stark zebrał swoją statystykę dla Szkocyi. Może tam inne warunki, a nie bezżeństwo przyczyniło się do większej śmiertelności kawalerów, może w innych krajach i stosunek będzie inny? Otóż nie! Statystyka zebrana przez Bertillonów z Francyi, Anglii, Włoch, Belgii, Hollandyi, Bawaryi i Szwajcaryi wykazała, że w każdym wieku życia od 20 roku aż do najpóźniejszej starości, daleko więcej umiera kawalerów niż żonatych. Między np. 25 a 30 rokiem życia na 1,000 żyjących umiera pierwszych 10, drugich 6 to jest śmiertelność kawalerów jest prawie dwa razy większą niż żonatych. Między 45 a 50 rokiem życia, kawalerów umiera 20, żonatych 11.

To samo stosuje się i do wdowców, szczególniej młodych. Tak np. między 25 a 30 rokiem na 1,000 żyjących umiera przeciętnie: żonatych 6, kawalerów 10, wdowców 22 to jest wdowców umiera w tym wieku znacznie więcej nawet niż kawalerów i prawie 4 razy więcej niż żonatych. W ogóle śmiertelność 25 letnich wdowców jest taką, jak 50 i 60 letnich żonatych; różnica ta tylko z wiekiem stopniowo się zmniejsza.

A więc to nie wypadek, nie zbieg okoliczności dla jednego roku, lub jednego kraju! to są fakty, które dowodzą, że jakieś fatum ściga wrogów Hymenu, że warunki naturalnego życia wymagają tworzenia rodziny, która w takim razie, może być słusznie nazwaną instytucyą fizyologiczną i hygieniczną.

Możemy zwrocić uwagę jeszcze na kilka faktów, przemawiających na korzyść małżeństwa.

Liczba obłąkanych z osób stanu wolnego, jest znacznie większą niż obłąkanych żonatych i mężatek; jest nawet w ogóle większą, aniżeli to być powinno odpowiednio do ogólnej liczby mieszkańców danego kraju, znajdujących się w tym samym wieku, co i chorzy. Tak np. w roku 1874 w liczbie obłąkanych pomieszczonych w szpitalach w Paryżu, było bezżennych i niezamężnych 882, wdowców i wdów 348, czyli razem 1,230, żonatych zaś i mężatek 855.

Statystyka samobójstw wykazuje, że we wszystkich krajach najmniej jest samobójców z osób żyjących w stanie małżeńskim, więcej ze stanu wolnego, a najwięcej wdowców i wdów, którzy pod tym względem ustępują tylko rozwiedzionym. Liczba wdowców, odbierających sobie życie, przewyższa trzy razy liczbę żonatych, a liczba rozwiedzionych pięć razy. We Francyi w roku 1885 i 1886 było samobójców na 100,000: żyjących w związkach małżeńskich 23, kawalerów 34 i wdowców 64.

Nakoniec statystyka karna wykazuje, że najwięcej przestępców bywa ludzi ze stanu wolnego...

A więc małżeństwo jest instytucyą nietylko hygieniczną, ale i moralną, gdyż przyczynia się do przedłużenia nam życia i wpływa dodatnio na zdrowie i moralność.

Nieregularność życia kawalerskiego i niezaspokojenie takich uczuć i naturalnych dążności, które mają zbyt wielkie znaczenie dla człowieka, brak normalnego otoczenia, brak ciepłego wpływu kobiety i najżywotniejszych pobudek do pracy, oszczędności i rozwijania się altruistycznych uczuć, muszą koniecznie zachwiać równowagę życia.

„Człowiek bezżenny—powiada przysłowie wschodnie — jest istotą niedokończoną; jest to jeden tom dwutomowego dzieła, który mniejszą ma wartość niż pół dzieła, jest to jedno ostrze z pary nożyczek, z którego żadnej nie ma korzyści, a którem wiele zrobić można."

Małżeństwo zatem, jest koniecznym warunkiem pewnego i normalnego życia; prawa natury i moralności wymagają od nas spłacenia długu, który zaciągamy przyjściem swojem na świat.

„Małżeństwo — mówi Mantegazza — jest godnością, jest ukoronowaniem jednostki człowieczej."

Miłe wspomnienia zostawia po sobie małżeństwo u tych, którzy już raz skosztowali jego słodyczy, a następnie zostali ich pozbawieni, mówię o wdowcach, wdowach i rozwiedzionych, którzy śpieszą przez powtórne związki wrócić sobie utracone szczęście.

W Belgii np. wdowców 6 razy więcej się żeni niż kawalerów; w Hollandyi na czterech kawalerów, wstępujących w związki małżeńskie w 20-tym roku życia, wypada 290 takich wdowców, między 25 i 30-tym rokiem na 1,000 mężczyzn kawalerów żeni się 110, wdowców zaś 356.

Mężczyzni rozwiedzeni w wieku od 25-ciu do 40 lat żenią się powtórnie częściej niż kawalerowie,

rzadziej jednak niż wdowcy, po 40 zaś latach częściej nawet niż wdowcy.

Są to fakty, na które powinni zwrócić baczną uwagę ludzie wolnego stanu.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Karnawał chyli się już ku zachodowi a choć modniarki, cukiernie i dorożkarze narzekają bardzo na jego małe ożywienie, bale jednak rozmaitej nazwy, panieński, drukarzy, tapicerów, studencki, wioślarski, subjektów, na przytulisko, i t. d. szły swoim porządkiem, a tańce zapewne na wzór gaju miotanego burzą, gdy do mazurów lub kontredansów, po sto pięćdziesiąt par naraz się szeregowało. W polkach i walcach nielepiej się działo; pary wirowały jak na polance po wyciętym lesie sterczącej pniami na niej pozostałemi. Łatwo więc wyobrazić sobie, jaki wszędzie w tumulcie podobnym do wzbierającego i opadającego morza, panował zamęt i wzajemne wszystkich karambulowanie.

Bal Lutni w resursie obywatelskiej ulukrował te niedogodności ślicznemi dla dam kornecikami do zapisywania tańców, wykonanemi litograficznie przez artystę malarza p. Badowskiego.

Karnawał w Petersburgu, jak dzienniki tameczne donoszą, świetnie prosperuje.

Wybitniejsze magazyny mód są zasypane robotą; znaczną też ilość ubiorów damskich wypisują ze znanej firmy Wortha w Paryżu.

Z Nicei przybywają omal nie całe wagony ze świeżymi fijołkami.

Restauratorowie mają odbyt nielada, codziennie prawie urządzane są obiady uroczystościowe.

Słowem, sezon balowy znajduje się w pełnym rozwoju. Z Paryża donoszą że od czasu zmiany prezydenta Rzeczypospolitej, ruch towarzyski znacznie się tamże ożywił. Gdy za Grévego pałac Elizejski był prawie niedostępny dla szerszej publiczności, obecnie odbywają się w nim licznie uczęszczane bale, koncerta i przyjęcia. W dzień Nowego Roku prezydent przyjmował przeszło 1,200 osób, poczem wydał obiad dla ciała dyplomatycznego. Przykład naczelnika państwa oddziałał na społeczeństwo paryzkie, i zabawy karnawałowe od wielu już lat nie były tak liczne i świetne jak w roku obecnym. Prowadząc życie ruchliwe, Carnot utrzymuje rozległe stosunki, zwiedza zakłady publiczne i szpitale, urządza wielkie polowania w Rambouillet i Fontainebleau, jakich nie widziano od czasów ostatniego Cesarstwa. W ogóle Paryżanie jak dotąd są bardzo zadowoleni z nowego prezydenta i wiele sobie po nim obiecują na przyszłość.

Statystyka komory celnej wykazuje, iż corocznie z zagranicy (głównie z Włoch) w porze zimowej ogrodnicy warszawscy sprowadzają za rs. kilka tysięcy kwiatów żywych (zerwanych). Największą ilość przywożą róż kremowych (safrano) z Nizzy. Obecnie, w skutku podwyższenia cła od kwiatów żywych i sztucznych, róże kwitnące sprowadzane z zagranicy, bardzo podrożały. Dowiadujemy się, iż jeden z ogrodników warszawskich założył w okolicy Warszawy przy drodze góreckiej plantacye zimowych róż odmian rozmaitych, które po raz pierwszy w bieżącym roku ukazały się w handlu. Róża zimowa jest znacznie trwalsza od letniej, zachowuje bowiem świeżość w wilgoci przez dni kilka, a liście kwiatu opadają dopiero po kilkunastu dniach, kiedy przeciwnie róża letnia więdnie bardzo szybko. Cena róży zimowej wynosi od 10 do 20 kop. sztuka.

W walce o byt, w niektórych gałęziach przemysłowych kobiety poczynają mieć przewagę nad mężczyznami, wypierając ich z pola pracy o połowę tańszą produkcyą. Tak w krawiectwie męzkiem np. przed 5-iu laty zatrudnionych było tylko 60 kobiet, obecnie zaś liczą 320, szyjących przeważnie kamizelki. W szewstwie jest o 400 więcej, niż przed 5-iu laty, a tak samo robotnice wypierają robotników w przemyśle rękawiczniczym i introligatorskim.

Według doniesienia Kuryera Codziennego, panie warszawskie poświęcone uczynkom miłosierdzia publicznego, rozdzieliły się na dwie partye z przybraniem nazwisk *Arystokratek* i *Gałganiarek*. Ale nie sądźcie aby do „arystokratek” należały wyłącznie przedstawicielki rodów lub finansów, a do drugich biedactwo... bez urodzenia i ubogie. Nie, obie partye pod tym względem nie ustępują sobie, tu i tam są dobrze urodzone panny, wykształcone, powabne, młode i piękne.

Inne są przyczyny rozterki...

Przedstawicielki obu partyi należą do... filantropek. W młodych serduszkach tkwi poczucie dla niedoli bliźniego, a tylko sposób niesienia pomocy był przyczyną... zerwania przyjaźni i nadania sobie powyższych przydomków.

Składające dla biednych datki pieniężne, nazwane zostały... „arystokratkami”, a udzielające nieszczęśliwym pomocy w naturze... „gałganiarkami!”

Pierwsze nie skąpią grosza, drugie pracy na szycie bielizny, garderoby, do których wszakże materyały kupują za własne pieniądze.

Obie partye na tem polu mają wielkie zasługi i... w księgach filantropii są dobrze zapisane.

Rozdwojenie to nie przeszkadza wcale zabawom i balom... panieńskim, na których płeć brzydka nie ma głosu, lecz tylko tańczy!

Małżeństwo z miłości. Przed kilku dniami dzienniki zagraniczne przyniosły wiadomość, iż królewicz duński, Oskar, żeni się z panienką ubogą i niezbyt wysokiego rodu pochodzącą. Dziś już możemy donieść, iż wiadomość ta jest prawdziwą i że król na małżeństwo to się zgadza. Przyszła królewna jest panna Munk, była dama dworu następczyni tronu. Przed kilku laty pokochała ona barona Waldemara Rosena, porucznika, a syna rodziców bogatych. Była z nim nawet zaręczoną, małżeństwo nie doszło do skutku, gdyż rodzice Rosena dla ubóstwa panny Munk nie chcieli na nie zezwolić. Cofnięcie się barona wywołało u dworu wielkie zgorszenie i niezadowolenie, co skłoniło młodego człowieka do wzięcia dymisyi z wojska i wyjazdu ze stolicy. Pannę Munk czekała za to przyszłość świetniejsza. Będąc wielką filantropką, brała udział w licznych zabawach dobroczynnych i t. d. i tam to spotykała często ks. Oskara, młodszego syna króla, znanego ze swej dobroczynności w całym kraju. Oboje też gorąco się pokochali, a wkrótce wzgardzona przez bogatych baronów dziewica zostanie synową króla i jako taka hołdy od nich odbierać będzie. Wygląda to wprawdzie na bajeczkę z „Tysiąca i jednej nocy“, a przecież wszystko to prawda. Dodać należy, iż król pierwotnie sprzeciwiał się zamierzonemu związkowi, gdy jednakże obecnie następca tronu, ożeniony z księżną badeńską, ma dwóch synów, tak iż sukcesya zapewniona, król Szwedzki zgodził się na małżeństwo, które pociąga za sobą zrzeczenie się wszelkich praw sukcesyi przez księcia Oskara. Ludność Szwecyi wielką okazuje sympatyę królewiczowi, który mimo szczupłych dochodów własnych (apanaże szwedzkie są bardzo skromne) nie szuka milionowej małżonki.

Z Petersburga donoszą, że tam budują obecnie dom lodowy. Przy budowie pracuje około 100 robotników, obrabiających ten nietrwały materyał budowlany odpowiedniemi siłami; do wzniesienia gmachu potrzeba 5,000 brył lodowych. Meble, biusty i wszelkie ozdoby, wypełniające wnętrze budynku, będą również z lodu, obrobionego przez snycerzy. Koszt wzniesienia tego „zamku na lodzie“ wynosić ma 4 do 5,000 rs.

Znajduje się tam także, bardzo zacny filantrop, poważny starzec, którego na wszystkich licytacyach spotkać można skupującego wszelkiego rodzaju odzież. Jestto były kupiec. Posiada on skromny kapitalik, który zabezpiecza zupełnie jego utrzymanie, poświęcił się więc filantropii i jedynie w tym celu skupuje odzież na licytacyach. Nabyte rzeczy sortuje, lepsze sprzedaje swym znajomym z pewnym zyskiem, którym pokrywa wydatki poczynione na pozostałą część zakupionych rzeczy. Otóż tę resztę odzieży dobroczynny staruszek rozdaje biedakom. W ten sposób czyni zadość dwom swoim namiętnościom: handluje, do czego przywykł w ciągu długiego swego życia — i daje jałmużnę, która go nic nie kosztuje.

Wiadomo że nic nowego pod słońcem. Świat jest wielką księgą, której dzieje powtarzają się nieustannie—ze zmianą tylko osób i miejsca. Cóż więc dziwnego, że nawet tak pomysłowy człowiek, jak zięć Grévego nie jest wcale oryginalnym. Nie szukając dalej, w „Gil Blasie“ Le Sage'a, spotykamy jego pierwowzór. Oto ustęp z tego wiekopomnego dzieła. „Gil Blas“, jako sekretarz księcia de Lerme używa, a częściej nawet nadużywa łask swego pryncypała i wpływów, jakie tenże posiada, w interesie swoich protegowanych, ma się rozumieć, za sowitą opłatą. „Ponieważ — pisze on — udawało mi się załatwiać wszystkie sprawy ku zadowolnieniu moich klientów, przeto liczba ich wzrastała z dniem każdym. „Pomijając to, iż w miarę, jak się wzbogacałem, wzrastała we mnie chęć zysków, zachęcała mnie do tych operacyi i ta jeszcze okoliczność, iż jego ekscelencya z wielką łatwością udzielał mi wszystkiego, o com go prosił. To też przedstawiłem mu jeszcze jedną sprawę. Chodziło o uczynienie gubernatorem miasta Vera niejakiego Calatravę, który mi obiecał tysiąc pistoletów za otrzymanie tej posady. Minister śmiał się ze mnie mówiąc:

— A niechże cię, okrutnie lubisz wyświadczać przysługi swoim bliźnim! Posłuchaj, skoro będzie chodziło o drobnostki, mogę ci sprawić tę przyjemność, lecz w rzeczach ważniejszych, musisz, kochanku, zadowolnić się połową — z drugiej zdasz mi sprawę. Nie uwierzysz jak wiele mam wydatków i jak mnie drogo kosztuje utrzymanie się na tem stanowisku, bo chociaż pysznię się wobec ludzi bezinteresownością, przed tobą nie potrzebuję grać komedyi. Zastosuj się do tego.”

Naturalnie, że nie omieszkałem się zastosować. Chciwość moja wzrastała z dniem każdym. Byłbym chętnie ogłosił na rogach ulic, iż wszyscy ci, którzy pragną łask i odznaczeń u dworu, winni

w tym celu zgłosić się do mnie. Nie poprzestawałem na mianowaniu gubernatorów, rozdawałem kawalerskie ordery i zamieniłem kilku dobrych szlachciców na bardzo podrzędnych hrabiów i markizów. Do tego ustępu dodamy tylko, iż Le Sage pełnił służbę rządową, znał doskonale ludzi i barwy do swego obrazu pożyczał od natury. Za jego czasów fikcya powieściowa, również jak i dziś, była tylko prawdą.

Znany bogacz petersburski, Nieczajew-Malcew, ogłosił przed kilku miesiącami konkurs na plafon pałacowy.

Obecnie konkurs ten został rozstrzygnięty.

Obiedwie nagrody: 1000 i 500 rubli wzięli artyści polscy, pierwszą Tadeusz Roztworowski, drugą Kazimierz Alchimowicz Projekt pana Roztworowskiego przedstawia: „Zwycięztwo piękności". Za staraniem znanego archiwisty w Archiwum Poznańskiem p. J. Lekszyckiego, został obecnie wydany ważny do dziejów polskich materyał źródłowy w ostatnim tomie wydawnictwa: „Publicationen aus den K. preussischen Staatsarchiven (XXI tom, Leipzig, Hirzel 1887).

— Płaczesz Maryniu? Cóż się stało takiego? — zapytuje przestraszona przyjaciołka.

— Wystaw sobie, nazwał mnie fałszywą żmiją!

— Kto taki?

— Mój mąż i to z zazdrości.

— Śmiej się z tego, bo gdyby cię nazwał prawdziwą żmiją to co innego, ale *fałszywą*, to żadnem nie jest ubliżeniem.

* * *

— Dzisiejszy pański odczyt był prześliczny, ale przytaczane w nim dowodzenia przeciwne są faktom.

— Być może, ale to nie ubliża dowodzeniom moim tylko... faktom.

* * *

W mieście Lyons, w Stanach Zjednoczonych, pani Jenny Walker, młoda i urodziwa mężateczka, wniosła do sądu skargę przeciw p. Henrykowi Elman, najbogatszemu człowiekowi w okolicy, i zażądała wynagrodzenia w sumie 5000 dolarów, dlatego, że ją pocałował w policzek. Pani Walker zeznaje, iż Elman, przybywszy w odwiedziny do jej męża, gdy tenże wyszedł do przyległego pokoju, pochylił się nad jej krzesłem i pocałował ją; ona zaś tak się wylękła i zmartwiła tym czynem, że przez kilka tygodni musiała leżeć w łóżku, wskutku czego zaniedbała swoje gospodarstwo. Elman przyznaje się do pocałunku, o wynagrodzeniu jednak słyszeć nie chce. Siedmiu adwokatów zajętych jest tym procesem. Ciekawa tylko rzecz, za co nadobna mężateczka żąda wynagrodzenia, czy za wyrządzoną jej obelgę, ze stanowiska moralności małżeńskiej, czy też jako praktyczna córa nowego świata, za straty, poniesione wskutku zaniedbania gospodarstwa?

* * *

O słynnym zięciu byłego prezydenta Rzeczypospolitej, kursuje obecnie w Paryżu następujący dowcip. Pan Wilson, będący, jak wiadomo, pod śledztwem sądowem z powodu frymarki orderami, powiedział jakoby do sędziego śledczego, prowadzącego jego sprawę: „panie sędzio, złóż pan dowód, że jestem niewinny i nie dostarczyłem nikomu orderu, a jako podziękowanie otrzymasz odemnie order".

* * *

Na balu w Operze paryzkiej, w tych dniach odbytym, śród grona masek charakterystycznych, powszechną uwagę zwróciła postać, naśladowanego do złudzenia Wilson'a. Sobowtór zięcia byłego prezydenta, ofiarowywał uczestnikom zabawy krzyże legii honorowej po pół franka, ordery „mérite agricole" po 25 cent., „palmy akademickie" (odznaczenie oficerów akademii) po dwa sousy. Kilka tancerek zaś obdarował uprzejmy handlarz orderów, olbrzymiemi gwiazdami brylantowemi i wielkiemi wstęgami legii honorowej. Bal przyniósł ogółem 28,870 fr. dochodu.

* * *

Ogłoszenie nowojorskie: „Wobec zbliżającej się pory karnawałowej, polecamy szanownej publiczności nasz skład obficie zaopatrzony w towary bławatne, płótno i bieliznę. Wyprawy są naszą specyalnością. Każdy nabywca wyprawy wartości 100 dolarów, otrzymuje jako dodatek bezpłatny prawomocny wyrok rozwodowy, pod którym tylko brakuje podpisu panny młodej.—Smart et Com.

Przezorna firma.

* * *

Na maskaradzie. Jesteś czelnym gburem, godnym piętna...

— Panie! rozważ...

— Nie, nie rozważam, a jeżeli czujesz się obrażonym, możesz mnie wyzwać na szpady...

— Bardzo pięknie, a na wiele kroków?

* * *

Konduktor tramwaju prosi naczelnika o podwyżkę pensyi, z której jak utrzymuje, trudno wyżyć.

— Mój panie — odpowiada naczelnik — drugi na twojem miejscu gospodarniejszy, robiłby nawet pewne oszczędności...

— I ja już dwadzieścia kopiejek drugi miesiąc złożyłem do kasy oszczędności...

— Kiedy tak, to jakże pan możesz być tak czelnym, aby prosić o podwyżkę.

RÓŻNE MYŚLI.

Ulegamy chętnie ludziom wyższym od nas.

Boiste.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani M. Natrowiczowej w Skwirze. W roku zeszłym żadne premium nie było dodane dla prenumeratorów, z dawniejszego jest jeszcze do nabycia dwa bardzo ładne oleodruki, mogące ustroić ściany każdego mieszkania. Jeden z nich przedstawia osadę leśną z ogniskiem w kuźni, a drugi grupę złożoną z matki i kilkorga dzieci złączonych z sobą w jednym uścisku miłości. Oba z przesyłką pocztową, mogą być nabyte za cenę zwrotu kosztów jedynie wynoszących kop. 75.

Pani Uzłowskiej w Kiszyniewie. Model żądanej sukni w naturalnej wielkości zrobiony z bibułki, oraz deseń na wyszycie sutaszem z przesyłką pocztową kosztować będzie 5 rs.

PRZYJACIEŁ A DZIECI

numer 5 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z botaniki.—Odlot ptaków (wiersz). — W wigilią (obrazek). — Puszkin Aleksander. — Muata Kazembo (z drzeworyt.) — Pomnik św. Wojciecha (z drzeworytem). — Polowanie na wilki (z drzeworytem. — Opowiadanie prawdziwe. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Zapytanie (z drzeworytem).—Kłębuszek bawełny (wiersz). — Janek w łapce. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Января 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.